Ner 16. Kraków 15 sierpnia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. - Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**. p. t.: „Ostatnie wspomnienie“ z pośmiertnych poezyj J. Słowackiego, muzyka *Bohdana Borkowskiego.*

O poezyi lirycznéj

na podstawie liryki greckiéj

(wykład publiczny miany w sali Tow. nauk. krak. d. 1 kwietnia 1868)

przez ***Alfreda Szczepańskiego.***

Zdarza się nie raz słyszeć zdanie, że rozsiadła się u nas choroba poezyi, że poeci rozpieścili nas i rozbałamucili. Dużoby o tém było do mówienia, czy to prawda, czy nie: to jednak pewna, że trudno poetów o to winić, jeżeli właśnie pod względem rozumienia i oceniania poezyi panują u nas tak jak i gdzieindziéj wcale grube przesądy. Ilekroć np. napotkamy w życiu na jakiś pomysł dziwaczny lub niedorzeczny, nazywamy go poezją; ilekroć spotkamy człowieka rozerwanego na cztéry wiatry, niby marzyciela, a nie dającego rękojmi i charakteru, również, kiwając głowami, mówimy, to poeta.

W ogóle świat ideałów, który jest dziedziną poezyi i wszystkich sztuk, uważany bywa jako pokarm umysłów niezdrowych; i przekonujemy się codziennie, że w wyobrażeniach całego społeczeństwa nie ma wcale téj wiary: *że ideał a prawda — prawda a ideał, to jedno i to samo, jeżeli jedno urojeniem, urojeniem i drugie.*

Nie powinno więc być bez interesu, pomówić nieco o tym świecie ideałów, a raczéj o jedném z jego ustroni, o poezyi lirycznéj.

Dla ułatwienia rzeczy weźmiemy za podstawę lirykę grecką: Literatura grecka albowiem była u nas niegdyś znaną i uprawianą — mamy na to liczne dowody, a między innemi jéj to zawdzięczamy jedno z arcydzieł literatury naszéj, dramat Kochanowskiego: „Odprawa posłów“. Następnie jednak z ogólnym upadkiem upadła nauka i znajomość literatury i sztuki klasycznéj — i powoli dopiero, od niedawna się dźwiga. Mamy już znakomite pod tym względem dzieła (jak prof. Małeckiego, Kremera), mamy też i liczne przekłady autorów greckich. W poezyi atoli ograniczano się dotąd głównie na dramatach — epopei mamy dotąd tylko urywki — zaś z poezyi lirycznéj pojawiły się zaledwo drobne odosobnione okruszyny, których nawet trudno odszukać. Ogół zatém u nas nie mógł się jeszcze poznajomić z tym działem literatury greckiéj — przedmiot ten więc, jako poczęści nowy i nieznany, może już sam przez się pewne zajęcie obudzać, a tém samém zadanie niniejszego wykładu ułatwić. A przytaczam to dlatego, bo jakkolwiek będzie tu mowa o grece, to jednak nie koniecznie, żeby to było dla publiczności *du grec.*

* * *

Sądząc z tego, co wiemy o Grekach z historyi lub odpowiednich dzieł, znając dramata i epopeje, można już z góry wnioskować, że równéj wartości musi być także ich liryka. W istocie chociaż doszła nas bardzo uszkodzona, prawie wyłącznie w ułomkach, przedstawia jednak wielkie piękności, wielką rozmaitość i potęgę. Nie idzie nam tu o filologiczne zastanawienie się nad charakterem liryki u pojedyńczych szczepów greckich, ani też o różnicę jéj form zewnętrznych, ani też o jéj historyczny rozwój, ale o wartość estetyczną. Wszystko co pozostało, jest dla nas dzisiaj jednolitą całością, jednym z obrazów duchowego ustroju i całego życia narodu greckiego.

Czémże bowiem jest poezja liryczna? — Kiedy człowieka coś boli lub raduje, wtedy płacze i rzuca się, krzyczy i skacze. Tak się dzieje u ludów dzikich. U ludów ukształconych krzyk zamienia się w pieśń, skoki w taniec — i oto mamy poezyją i muzykę, które w kolebce zawsze są bliźniętami.

Przedmiotem poezyi lirycznéj jest więc człowiek sam, własna jego dusza i wszystkie jego przygody — a cały świat zewnętrzny nie sam przez się, ale o tyle tylko, o ile na nas oddziaływa, jak się we wnętrzu naszém odbija i przetwarza; co tak pięknie wyraża Zaleski:

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica,
Wszystko tkliwe, to ją wzrusza,
Wszystko piękne, ją zachwyca.

Poezja liryczna jakiegoś narodu jest więc skarbnicą najtajniejszych jego uczuć, objawem wszystkich jego świętości, zwierciadłem, w którém widać zarówno cnoty jak i skazy; i nie ma tak drobnego i tak przemijają-

cego drgnienia, żeby w niéj po sobie nie pozostawiło śladu.

Jedynie według téj skali możemy mierzyć i lirykę grecką. Byli Grecy takimi ludźmi jak i my — lubo poziom ogólnéj cywilizacyi i ukształcenia był u nich nierównie wyższy. Te same więc lub pokrewne naszym i zrozumiałe dla nas uczucia, muszą się w ich pieśniach znajdować. Dlatego też mają one dla nas nietylko historyczną, ale oraz i nieprzemienną, zawsze świeżą, estetyczną woń i wartość; a podnoszą ją jeszcze zachodzące różnice. Ich bowiem urządzenia społeczne, ich pojęcia, zwyczaje, obyczaje, ich religja były zupełnie odmienne. Wynika ztąd, że uczucia ich musiały się objawiać również w *odmienny sposób*, a nadto, że są pewne struny duszy, które grają przeważnie w literaturach nowoczesnych, a które dla nich nie mogły być znanemi.

Poznamy to po kolei, a zacznijmy od tego, co jest najbliższém, bo najpowszechniejszém, tj. *uczucia religijne*.

Wiadomo, że religja Greków była zmysłową, plastyczną, bogowie byli udoskonalonymi ludźmi z wszystkiemi ich przymiotami i wadami. Przeciwnie niektóre religje wschodnie, monoteistów (żydzi) i wszystkie wyznania chrześciańskie są oderwane (abstrakcyjne), pełne nieokreślonych tajemnic, bezkształtne, n i e p l a s t y c z n e ale m i s t y c z n e.

Wynika z téj różnicy, że Grek nie mógł znać owego skruszenia, owéj tęsknicy niebieskiéj, owego utonięcia w nieznanym bogu, do jakich te religje usposabiają. Usposobienie to podniosłe jeżeli się chce objawić, jeżeli się chce przyoblec, np. w szaty psalmów Dawidowych, albo uniesień ś. Franciszka lub ś. Teresy, z trudnością mu przychodzi znaleść dla siebie odpowiedni kształt i wyraz, tak bowiem jest bezcielesne i duchowe; ale jeżeli je znajdzie, będzie to poezja najszczytniejsza.

Inaczéj u Greków — ich uczucia religijne musiały być również zmysłowe i niemal praktyczne jak ich religja. To też znajdujemy w ich poezyi religijnéj prośbę *o coś*, ofiarę *dla czegoś*... a mniejsza o to czy to dobre czy złe, bo na wszystko był bóg i kult osobny, zarówno ołtarz dla Apolla boga światłości, jak i dla Merkura protektora złodziei (sprytu) — znajdujemy podziękowanie *za coś*, znajdziemy nawet uwielbienie, mające atoli zawsze cel praktyczny, albo dziękczynienie, albo zamaskowaną prośbę. Nic dziwnego, jeżeli Grek modli się np. w ten sposób: Apollinie, wystawię ci świątynię, wyprawię ci ucztę, zabiję sto tucznych wołów i zakadzę ci przyjemnym dymem ze smażącego się tłuszczu — ale wytrać wrogów moich, spuść na nich zarazę, wygub ich zatrutemi strzałami i t d.

Widzimy więc, że uczucia religijne u Greków były w porównaniu z naszemi wcale zwykłe, a jeżeli właśnie dla tego łatwo im było wyrazić je w modlitwie i pieśni, to nie można jednak powiedzieć, żeby ta ich poezja była bardzo szlachetną i podniosłą.

Religja grecka była zarazem państwową ustawą, kapłanką wszelkich domowych i publicznych zwyczajów i obyczajów. Dlatego też na każdym kroku napotykamy u nich pieśni religijne. *Mity* religijne tj. powieści o bogach, stały się tak dalece nieodłącznemi od ich wyobraźni, że każda myśl, każde uczucie, każde wydarzenie używa ich dla objaśnienia lub nauki, wzywa ich na pomoc. W ten sposób poeci (głównie Stesichoros i Simonides) zasilając pienia religijne, obrzędowe, mitami, całą fabułą teogonii, rozwinęli je w tak zwane hiporchemy, partenie, peany, które wykonywane przez męzkie i żeńskie chóry, były u nich tém, czém u nas hymny, litanie, legendy, ballady i oratorja.

Jak plastyczność mitologii sprzyjała wielce liryce religijnéj, tak również całe ich społeczne i polityczne urządzenie, i przyrodzone właściwości kraju oddziaływały szczęśliwie na ich usposobienie, a tém samém sprzyjały wielce téj liryce, którą można nazwać *świecką*.

Rozwój ludowych, demokratycznych form rządu, ciągłe walki, bądźto domowe o prawa, bądź zewnętrzne o wolność i niepodległość wymagały swobodnego objawiania uczuć i opinij, podając właśnie tęższym osobistościom sposobność do uwydatnienia się. Na *agora*, na rynku ateńskim odbywały się codzień mityngi, i jak mówi jeden z poetów: „włócznia młodzieży, głośno brzmiąca muza, taniec i prawo kwitną na rynku"....

To też poeta, który w epopei znikał poza przedmiotem opisywanym i był więcéj bierném tylko zwierciadłem sławy i wydarzeń przeszłości; występuje teraz w poezyi lirycznéj już sam jako działacz; jego uczucia, i głos jego własnéj piersi jest głosem społeczeństwa, głosem ludu — czujemy, że są to pieśni obywateli wolnych.

Urządzenia społeczne ochroniły ich od jednéj zgrzytliwéj nuty, która w społeczeństwach i literaturach nowoczesnych tak często się odzywa. Nie słychać u nich nigdzie *krzyku nędzy społecznéj*, owego rozstroju i rozdarcia, z jakim woła np. u Berangera *le vieux vagabond* (stary niepoń): ...„chciałem was kochać, nienawidząc umieram; ostatni raz usta do przekleństw otwieram"... Od takiego krzyku ochroniło Greków barbarzyństwo, tj. instytucja niewoli. Może to dziwnie brzmieć i mybyśmy się zapewne na podobne lekarstwo nie zgodzili; niemniéj jednak jest to historyczną prawdą. Ponieważ nędza, jarzmo, praca przypadły wyłącznie niewolnikom, dlatego poza niemi była już wolność, swoboda, równość i dobrobyt dla wszystkich bez wyjątku — więc nie było komu się skarżyć.

Do pogody umysłu przyczyniała się daléj niemało natura kraju, łagodny klimat, góry, morza, wszelka

rozmaitość i bujność — a wszystko to w wyobraźni Greków żyło, każda góra, każde źródło, każdy gaj były zaludnione przyjemnemi bóstwami, nimfami, driadami, na Olimpie było niebo, na Parnasie tron poezyi, na Helikonie gniazdo dziewięciu Muz, Hipokrena była źródłem natchnień, drzewa i kamienie miały swoje romanse — Dafne zamieniona w drzewo bobkowe, Niobe zamieniona w skałę, inna matka z rozpaczy po zgonie dziecięcia zamieniona w słowika, który odtąd wiecznym żalem zawodzi.... i tak cała natura była ożywiona i mówiąca. Wszystko to wpływało na ich usposobienie, które też odznacza się otwartością, wesołością, równowagą umysłową, rozsądném używaniem życia; i wszystko to następnie w poezyi odbrzmiewa.

Nie wyklucza to bynajmniéj uczuć głębokich i pojmowania całéj grozy życia. Owszem, w lapidarnych, wyrzeźbionych wierszach, w gnomach i epigrammatach składali oni skarby trzeźwéj mądrości i hołd dla wszelkiéj cnoty. Dosyć tu przypomnieć Simonidesa pomnikowy wiersz dla bohaterów termopilskich, w którym cała istota dziejów i charakteru narodowego jest ujęta: „Przechodniu! powiedz Sparcie, żeśmy tu polegli posłuszni jéj prawom".

Liryka nastrojona według tonów, któreśmy wymienili, towarzyszy całemu życiu Greków. Powód jéj (motyw) czy to prywatny, czy publiczny jest zawsze przygodny tj., że pieśń rodzi się zawsze wskutek rzeczywistego zdarzenia, wskutek przygody życia lub wewnętrznej dusznéj przygody. Nadaje to ich pieśniom cechę prawdy i zdrowia, a chroni je od mdłéj, chorobliwéj wymyślności, czém tak często poezje nowsze grzeszą.

Nie było wówczas literatów i poetów jakoby z *cechu*, nie było książek ani gazet, ale niemniéj pierś ludzka potrzebowała wyrazu. Więc gdy ożywione umysły zapragnęły odpowiedniego tonu, znalazł się zawsze ktoś, co miał ochotę, lub znany był ze zdolności do śpiewu lub deklamacyi — jemu więc na znak podawano lirę albo gałązkę mirtową. W ten sposób czy to w gospodzie, czy to w gościnie domowéj, w kole przyjaciół, czy wśród tłumu na rynku, powstawały pieśni niezliczonych poetów. Jakie uczucia, jakie myśli napełniały towarzystwo, takie odbijały się w pieśniach jego poetów; więc pieśni biesiadne, toasta (skolie), wykrzykniki, przechwałki itp.

Ten *towarzyski swobodny ton* streszcza wybornie wierszyk Teognisa:

Nie przymuszaj nikogo, by pozostał z nami —
Nie wypędzaj nikogo, gdy chce bawić razem —
Nie budź, gdy kogo wino napełniło snami —
Nie każ spać pijanemu, źle spać za rozkazem —
Kto chce pić, niech mu puchar próżno nie postawa —
Nie zawsze sercu człeka zdarza się zabawa.

Kiedy umrę, królewskie nie zda mi się łoże —
Oset mnie nie ukłuje — wełna nie pomoże —
Trawa nie będzie miękką, drewnem się niespłoszę,
Toć niech mam póki życia, uciechy po trosze [1]).

Prawie każdy z poetów musi potrącić o przyjemności towarzyskie, gdyż była to u Greków rzecz ulubiona i charakterystyczna. I tak śpiewa Alkeos:

Pijmy! co czekać wieczora,
Dzień szybko przemija,
Niechaj tu staje amfora —
Kto wino zapija,
Ten troski zabija;
Nalej mi kubek
Po czubek —
Nalej mi drugi
Téj boskiéj strugi.

Albo Anakreont:

Pije ziemia czarna,
Drzewa deszcze piją,
Oceanu fale z chmur powietrznych żyją,
Słońce — pije morze,
Księżyc — pije słońce;
Czemuż ja pić nie mam,
Gdy garło pragnące! [2])

Albo Bakhylides:

Słodki przymus wzlatuje z kielicha
Umysły łagodzi,
Pragnieniem uczuć pierś wzdycha,
Bo miłość z winem pospołu chodzi.

Rwie się duch na wysokie loty
Po nad miast mury,
I zda się człeku, że tam panuje
Nad ludźmi — z góry.

Wszelki dostatek dlań się rozściela,
Płyną z Egiptu pełne okręta...
Tak to wysoko duch ludzki strzela,
Kiedy go wino opęta.

Któż sobie tu nie przypomni uciesznych piosenek Kochanowskiego przy dzbanie miodu pod lipą w gronie towarzyszy miłych.

A kiedy poważniejszy zapanował nastrój, zjawiła się też zaraz surowsza i poważniejsza pieśń, jak ten np. urywek z elegii Mimnermosa:

...Jako więc liście w kwitnącej wiośnie,
Gdy się w promieniach słońca rozwiną —
Liściom podobny i człowiek rośnie;
Kwiaty młodości giną i miną. —

---

[1]) [2]) Przekład J. Szujskiego.

Już czarne Kery przed nami stają,
Jedna z sędziwym wiekiem,
Ze śmiercią druga. I jako tają
Śniegi, tak dzieje się z człekiem.

Lepsza śmierć wtedy. Po co żyć dłużéj,
W sercu tłum trosk się budzi,
Tego sieroctwo, tego nędza znuży;
Pora już odejść od ludzi.

I po cóż dać się nękać chorobie?
W podziemne pójść trzeba cienie —
A nie ma, kogoby Zeus na ziemi
Nie brał w niedoli pierścienie....

Ale radość z życia i bujność owéj szczęśliwéj natury greckiéj były to jednak główne zawsze dla pieśni motywa. Więc albo śpiewala młodzież swoje pieśni, jak np. ową buńczuczną Hybriasa: „Bogactwo moje, Włócznia i miecz...“, albo też jeżeli śpiewano na ton poważny, to nie mniéj przeto pogodny. Taki jest np. prześliczny urywek z Bakhylidesa: *pieśni o pokoju* (Eirene):

...Z łaski Eireny wyniosłéj,
Bogactwa ludziom urosły,
I pieśni się leją jak miody —
Z ółtarzów kunsztownych kamieni,
Woń bije i jasność płomieni,
Dla bogów tłuste to gody!

Flet nam przygrywa wesoło,
Biesiadne cieszy się koło,
Młodzież o lepsze się ściera —
A w tarczach pająk się lęże,
I zapomniane oręże
Rdza pożera.

Nie słychać dzikich łomotów
Trąby śpiżowéj,
I lekarz ludzkich kłopotów
Sen zdrowy,
Łagodnie powieki głaszcze;
Pochwalne brzmią śpiewy
Na chłopców i dziewy,
I tańczą tłumy hulaszcze...

Jest to dykcja tak uroczysta i podniosła, jaką napotykamy chyba w Szillerowéj pieśni o dzwonie.

A słynny też był dowcip grecki, owa *boska ironja;* aż do dzisiaj jest jeszcze przysłowiem: *attycka sól.* Taką to solą są zaprawione jamby i trochee — to jest satyry greckie.

Te złośliwo dowcipne wiersze nie przechodzą jednak nigdy w cierpki sarkazm, w owo bajronizowanie dzisiejsze, w ów szalony cynizm boleści, który sam ze siebie drwi. Ta manja za przewodem Bajrona, Słowackiego, Hejnego stała się zaprawdę chorobą; mnóstwo zapoznanych, niedokończonych głów męczy Pegaza i każe mu się wykrzywiać w skutek cierpień wymyślonych jedynie dla mody. Jest to widok przypominający walkę z wiatrakami, albo Ajaksa, który morduje cielęta jakoby ryccrzy. Co więcéj, niejeden nawet talent traci zupełnie poczucie samego siebie i swój własny wyraz i ustraja wszystkie swoje pomysły wyłącznie na ton i modłę gorzkości wspomnianych poetów. Takie wynaturzenie się zabija w krótkim czasie całą produkcyjność — i tu jest może przyczyna, w tym przeważnym wpływie kilku wielkich geniuszów, że dzisiaj wcale prawie nie mamy poetów z piętnem jakiéj takiéj oryginalności.

Wszystkie te niepotrzebne rzeczy, dodawszy jeszcze do nich ów ogólny niemiecki Weltschmerz — (na co my nawet wyrazu nie mamy), tj. jakieś sentymentalno-gorzkie zapatrywanie się na cały świat i wszystkie sprawy ziemskie — wcale nie były znane u Greków, w tym kraju piękna i harmonii. W ich satyrach znajdziemy albo poważne, grzmiące słowo, albo wdzięczny dowcip, humor, zasiany na gruncie łagodnéj dobroci. Chyba gdzie idzie, jak późniéj w komedyi, o polityczne walki i osobistości wchodzą w grę — tam znajdzie się piekąca złośliwość i zabijająca śmiesznością karykatura. W ogóle jednak humor grecki ma coś powinowatego z zagubionym już prawie humorem staropolskim, z humorem Kochanowskiego, Reja, Paska, P. Tadeusza, Soplicy, Fredry — który nie koniecznie, żeby gryzł, a zawsze rozweseli i ucieszy.

Z pomiędzy tego rodzaju utworów przytoczę tu np. jednę satyrę Simonidesa. Wywodzi on w niéj pochodzenie wszelkich usposobień kobiet; powiada, że na początku stworzył Bóg różne usposobienia: złośliwą, zmienną, a z dobrym węchem z liszki; obojętną i zakutą ze ziemi; naprzemian cichą i burzliwą z wody morskiéj, daléj wrzaskliwą, upartą, zabrudzoną, wygodnisię, brzydką itd. W ogóle nazywa kobiety nieszczęściem i plagą i kończy arcysmutnym sensem, jakby jakieś echo utyskiwań Salomonowych: „Jednego dnia całego nie przepędzi wesoło, kto z niewiastą żyje“. Jest to zdanie wcale niegrzeczne — ale można (sądząc według innych pisarzów) z góry i o nim wnioskować, że zapewne nie myślał tak źle, jak napisał. (C. d. n.)

ANUSIA.

(FRAGMENT).

Niedziela była — Na niebie pogoda,
W miasteczku cicho i ludzi niewiele
I na nieszpory dzwoniono w kościele.

W oknie dzieweczka jakaś siedzi młoda —
Ładna? Oj ładna! Oczy ciemne duże,

A czarne włosy w aksamitnéj siatce —
W okienku mirty, powoje i róże,
I kanareczek trzepocze się w klatce.

Naprzeciw okna kościół i dwie wieże,
Osnute całe gotycką koronką,
Spylone okna pozłociło słonko —
A dziady żebrzą i mówią pacierze.

Jak tu to życie spokojnie Anusi
W onym zakątku cichym płynąć musi....
Ba! gdyby to był taki kącik w świecie,
Gdzieby człek uciekł przed bólem co gniecie,
Żeby to można pożyczyć, gdy trzeba,
Ciszy z kościoła — a pogody z nieba.

Ale to nieraz słonko na błękicie,
A tu na ziemi takie chmurne życie —
Tu ludzie płaczą — tam się palą strzechy,
Tam grób otwarty, co na trumnę czeka,
Że zgadnąć trudno, czy to słonko z człeka
Urągać przyszło, czy dać mu pociechy?

Patrzcie! dziewczyna rączkami drobnemi
Zakryła oczy i łezki ku ziemi
Przez palce ciekną, bo tam u ołtarza
W kościele ślubna para uklękała,
I ten, którego ona ukochała,
W téj chwili innéj przysięgę powtarza.

To też nie dziwić się dziewczęcym żalom,
I gdy powozy ruszyły z turkotem,
Dziewczę na ziemię upadło z łoskotem,
Jako ten kamień, którym grób przywalą.

M. B.

Pamiętnik sieroty.

przez ***Bohdana.***

(Dokończenie.)

Śniwodów * * *

Zobaczyłam mój domek ze łzą serdeczną. Nic się w nim rzeczywiście nie zmieniło, mogłabym pomyśleć, żem z niego nie wyjeżdżała, i że te kilka miesięcy pobytu mojego w Brzozach, to sen jakiś tylko.

Słudzy, sąsiedzi powitali mnie z radością. Zrobiło mi to przyjemność; ale po pierwszych przywitaniach zapragnęłam spokoju i samotności. Czuję się tak zmęczoną, jakbym dźwigała na sobie ciężar nie wiem ilu zim.

Dziwnego doświadczyłam wrażenia wszedłszy do mego pokoiku. Mimowoli spojrzałam w zwierciadło i nie poznałam téj twarzy bladéj, poważnego i jakby surowego wyrazu, którą w niém ujrzałam. Przypomniałam sobie, iż przed kilku miesiącami wyjeżdżałam ztąd młodą i rumianą dziewicą. Jak wiele przeżyć można w przeciągu jednéj krótkiéj chwili....

Wszyscy mi mówią, żem się bardzo zmieniła, i boją się o mnie przypominając sobie, że moja biedna matka umarła bardzo młodo z piersiowéj choroby. Nieoceniony mój stary przyjaciel szczególnie się o mnie niepokoi. Nie zadaje mi żadnych pytań o przeszłość, bo ma tę wielką delikatność sercową, która go ostrzega, by nie poruszać stron bolesnych, ale biedzi się i męczy własnemi myślami. Uważałam to, że w Brzozach sam nie wiedział co myśleć widząc honory, któremi mnie tam otaczano, i nie mogąc pogodzić tych oznak ostentacyjnych z mojém pragnieniem opuszczenia Brzóz.

* * *

Powoli urządziłam sobie życie bardzo spokojne i samotne, jakiego teraz potrzebuję. Pan Jacek tylko odwiedza mnie codzień, i jego widzę zawsze z zadowoleniem prawdziwém. Odpłacam bowiem najszczerszą wdzięcznością to przywiązanie ojcowskie, które ma dla mnie.

W sukcesyi po Marszałkowéj wzięłam także starą jéj krewnę, nieszczęśliwą istotę, która przez życie całe znosiła dla kawałka gorzkiego chleba niezliczone krzyże, jakiemi ją obciążał nieznośny humor Harpagona w spodnicy. To też, przez porównanie zdaje się teraz biednéj pannie Placydzie, iż przed śmiercią jeszcze już jest w raju, który się jéj należy za ten żywot udręczony, jaki dotąd prowadziła. Wdzięczność jéj dla mnie za spokojne i wygodne schronienie, jakie u mnie znalazła, nie da się wypowiedzieć. Cieszy mnie to, że mogę kogoś tak uszczęśliwić; przytém mam przed światem przyzwoitego i poczciwego Chaperona; za młodą bowiem jeszcze jestem, według światowych wyobrażeń, bym mogła mieszkać sama.

* * *

Dziś zrana przyjechał do mnie mój stary przyjaciel. Usiedliśmy sobie w moim pokoju przy kominku, na którym dla pierwszych chłodów jesiennych, palił się suty ogień. Po dość długiéj gawędze o interesach Śniwodowa, któremi zacny pan Jacek gorliwie się zajmuje, podziękowałam mu serdecznie, co pozwalam sobie rzadko, bo się bardzo gniewa.

Tą razą jednak nie gniewał się, tylko powiedział ze wzruszeniem: jeżliś mi doprawdy wdzięczna moje dziecko, choć nie ma za co (nie mógłby tego nie powiedzieć), okażesz mi to, uczyniwszy mi jedną łaskę.

Zdziwiło mnie to mocno, gdym się dowiedziała, że ta łaska na tém zależała, żebym zechciała się leczyć.

— I owszem, kochany panie — odpowiedziałam,

całując jego rękę, co także bardzo rzadko mogę sobie pozwolić.

Byłabym to dawno nawet uczyniła, gdyby mi to na myśl przyszło....

Ze zwykłą sobie skwapliwością w każdéj czynności swojéj, posłał natychmiast pan Jacek po lekarza i wkrótce przybył z sąsiedniego miasteczka niedawno w niém zamieszkały lekarz młody, zaczynający mieć w naszéj okolicy wielką reputacją.

Młodzieniec ten wybadał mnie szczegółowo, a potém nam wypowiedział swoje zdanie; radził koniecznie przed zimą wyjazd za granicę, i pobyt przez czas jakiś w cieplejszym klimacie. Nic nie mówiąc spojrzałam na pana Jacka.

— Jedź moje dziecko — rzekł pan Jacek smutnie. Choćbym miał umrzeć przed twoim powrotem i nie zobaczyć cię więcéj, co w moim wieku bardzo prawdopodobne, proszę cię najusilniéj, byś ratowała swoje zdrowie. Środki materjalne, jakkolwiek bardzo skromne, będą (jak myślę) dostateczne dla osoby, która tak mało wymaga i potrzebuje jak ty. Zostało nam jeszcze trochę po zaspokojeniu długów ze sukcesyi Marszałkowéj i Śniwodów powinien dać nam w tym roku dochód wcale zadowalniający na tak małą wioseczynę. Niechże konsyljarz raczy nam dać świadectwo, z którym jutro pojadę do P.

Postanowioną więc została podróż moja. Pan Jacek wziął się gorliwie do starań o pasport, i ja powoli do moich przygotowań. Biorę z sobą poczciwą pannę Placydę, a raczéj jadę pod jéj opieką. Udamy się do Paryża, gdzie według rady mego skromnego lekarza, chcę naprzód zasięgnąć zdania znakomitości medycznych.

Paryż. * * *

Dziwnie to miasto, odurza i zajmuje. Zawsze pragnęłam je poznać, i wyznaję, iż mi to wielkie sprawia zadowolenie, że do tego przyszło.

Bardzo mi służy tymczasowe leczenie jednego z najlepszych doktorów tutejszych, przytem jesień niezwykle ciepła. Korzystam więc z tych pomyślnych warunków i nie śpieszę bardzo do Pau, gdzie mnie na zimę wysełają, bo się i obejdzie może bez tego.

Jeżdżę sobie po mieście z panną Placydą, która sama nie wie na jakim jest świecie, i oglądamy wszystko to, co mnie zawsze w opisach i opowiadaniach mocno zajmowało, co poznać pragnęłam. Stan mój moralny zawsze bardzo spokojny, ale pomimo niezliczonych dystrakcyj, jakie mi się co chwila nasuwają, które mi sprawiają przyjemność, nie mogę jednak powiedzieć, bym czuła prawdziwą ochotę do życia.

Jednak tu życie przedstawia powab dla każdego, jakichby był usposobień, z jakiegoby był świata. Nie mówię o płytkich i próżnych osobistościach; te znajdą dostateczne zadowolenie w cudach przemysłu, w czarach mody, w tém wszystkiém co tu błyszczy i nęci na każdym kroku. Ale więcéj jeszcze znajdzie tu dusza wyższa, serce, umysł, rozwinięte i podniesione miłością wszelkiego piękna, w znaczeniu moralném i materjalném, znajdą tu pokarm obfity i rozkosze niezliczone. Poję się temi rozkoszami, dziękując Bogu, że mi ich użyć pozwolił. Jakkolwiek życie straciło dla mnie swój urok najświeższy, nie gardzę niém i wyznaję, iż wiele ma pociech.

* * *

Największą z nich zawsze będzie ta rozkosz wzniosła, któréj Bóg użyć nam dozwala w czynieniu dobrze. Umiejętność w tém wysoką posiadają Francuzi i za to także, między innemi powodami, wielki mam szacunek dla tego bardzo sympatycznego narodu, ktory może mieć wielkie swoje wady, ale umie pojąć miłość.

Zwiedziłam kilka zakładów miłosiernych i zostałam niemi zbudowaną....

* * *

Dziś zrana jeden dawny i zacny znajomy mego ojca ksiądz W., ktorego tu spotkałam, i który nam czasem towarzyszy w wycieczkach naszych, zaprowadził nas do jednego z najdawniejszych kościołów Paryzkich; kościół ten nazywa się: *Saint Julien le Pauvre*, i egzystuje od szóstego wieku; obecnie służy za kaplicę głównego szpitala Paryzkiego *Hôtel-Dieu*, w którego murach się znajduje.

Gdyśmy weszli do kościoła, zastaliśmy w nim dość osób; dowiedziałam się, że ma się odbyć ceremonja wzięcia welonu przez młodą nowicjuszkę ze zgromadzenia Augustjanek, służących chorym w *Hôtel-Dieu.*

Wkrótce weszły dwie starsze zakonnice, *la mère prieure* i *la mère sousprieure;* prowadziły bardzo młodą i ładną nowicjuszkę, w długim białym welonie, który zmienić miała na czarny, czyniąc profesją. Zbliżyły się do ołtarza i ksiądz celebrujący zaczął śpiewać hymn: *Veni Creator*, a nowicjuszka położyła się krzyżem; tak została do końca hymnu, błagając zapewne Boga w téj pokornéj postawie o łaski jego i siłę duchową na tę drogę abnegacyi i poświęceń niezliczonych, które się zdają przechodzić ludzkie siły, słabéj do tego niewiasty.

Zaczęła się msza święta; potem ksiądz wstąpił na ambonę i przemówił do młodéj nowicjuszki, krótko i po prostu, ale z wielkiém uczuciem.

Skończywszy tę przemowę, zeszedł z ambony i stanąwszy przed nowicjuszką, zadał jéj używane w takich razach pytania, odmówił zwykłe modlitwy i błogosławieństwa; następnie poświęcił welon, a nowicjuszka uklękła, i głośno, spokojnie wymówiła słowa przysięgi

na całe życie ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i służby nieustannéj przy chorych szpitala.

Po téj przysiędze matka przeorysza i jéj towarzyszka włożyły czarny welon na czyste czoło dziewicy, która wróciła przed ołtarz i znów się krzyżem położyła; w téj saméj chwili zbliżyły się także inne nowicjuszki zgromadzenia; otoczywszy swą siostrę, rozciągnęły nad nią czarny całun z białym krzyżem, i stały tak podczas ostatniego błogosławieństwa, które ksiądz dawał profesce.

Wszyscy przytomni byli mocno wzruszeni tym obrazem śmierci dobrowolnéj dziewicy, która swą młodość, zdrowie swe i życie całe poświęcała, oddając je na usługę ludzkości cierpiącéj, w smutnych murach szpitala od téj chwili przysięgi do chwili ostatniéj. Co do mnie, patrzyłam z szacunkiem i uwielbieniem największém na tę scenę rozrzewniającą, i jakkolwiek wychowana przez ojca bardzo postępowych wyobrażeń, uszanowałam w niéj święty zabytek wierzącéj przeszłości. Czém będzie filantropja, zimna filozofja w porównaniu prostego poświęcenia siostry miłosierdzia? O! reformatorowie, zostawcie nam to z przeszłości co w niéj było wielkiego i świętego....

Po odśpiewaniu tego nieporównanie pięknego hymnu dziękczynień: *Te Deum*, nowa profeska, nowicjuszki i zakonnice wyszły z kościoła. Obecni wyszli także; ja zaś prosiłam księdza W., by zechciał, jeśli to być może, pokazać nam wnętrze *Hôtel-Dieu* i klasztoru Augustjanek. Widziałam wszystko, i mocno przejętą i wzruszoną się uczułam. W ciągu téj wycieczki zrodził się w méj duszy zamiar stanowczy: jeżli przyjdzie do skutku będę szczęśliwą. Gdyby mi to kto powiedział przed krótkim czasem, nie uwierzyłabym mu. Chodząc przez sale szpitala gdzie leżą chore kobiety, powiedziałam jednéj zakonnicy, któréj wyraz spokoju i cichego zadowolenia uderzył mnie? Moja siostro, wszak prawda jesteś szczęśliwą?

Siostra podniosła na mnie oczy, i odpowiedziała z uśmiechem, nie zdziwiona wcale, że ją o to zapytuję.

— Tak moja córko — bardzo szczęśliwą się czuję, tém bardziéj, że bardzo nieszczęśliwą byłam na świecie.

* * *

Prosiłam dziś o posłuchanie matkę przeoryszę Augustjanek; otrzymałam je bardzo łatwo.

— Moja matko — rzekłam do niéj, najmocniéj pragnę być przyjętą do waszego zgromadzenia. Czuję, że odkryłam teraz moje prawdziwe powołanie, że w porcie tym zbawiennym znajdę moje szczęście.

— Moje dziecko, rzekła przeorysza, patrząc na mnie uważnie, jeżli cię pędzi do nas jakaś rozpacz, pragnienie twoje może być tylko chwilowém....

— Nie, rzekłam — była wprawdzie rozpacz w mojém życiu, ale ta już przeszła... wiara ją uciszyła i uspokoiła na zawsze, bo wiarę i miłość zostawił mi Bóg w swéj łasce... wierze, miłości, chcę poświęcić resztę życia.

. . . .

Na tém kończy się pamiętnik sieroty. Epilog uzupełniamy wiadomościami o dalszych losach Maryii i innych osób téj powieści.

* * *

Ostatnich dni 1864 roku, przyniesiono do szpitala *Hôtel-Dieu* w Paryżu, chorego lat dwudziestu kilku; lekarz zadecydował, że jest umierającym, że skończy prawdopodobnie najdaléj za kilka dni.

Uderzająca była twarz tego chorego jakimś wyrazem niecodziennym boleści nie fizycznéj i wielkiéj szlachetności; był zupełnie przytomny, lekarz zainteresował się mimowoli tym młodzieńcem: to téż, gdy musiał pójść daléj, powiedział do siostry szpitalnej nadchodzącéj w téj chwili:

— Siostro Felicyto, rekomenduję wam tego chorego. Wrócę do niego niebawem.

Siostra Felicyta była to młoda zakonnica, niepospolitéj piękności w swym prostym i surowym habicie Agustjanki; była niezmiernie bladą i bardzo wątłéj postaci; zdawało się, że jakaś siła nadnaturalna utrzymuje ją na świecie, w téj ciężkiéj i tak bardzo nieprzyjaznéj zdrowiu, szpitalnéj usłudze.

Zbliżyła się do chorego młodzieńca, który podniósł na nią swe gasnące oczy... i dziwna zmiana zaszła w jego twarzy. Twarz ta ożywiła się nagle wyrazem nieopisanym... podniósł się trochę i zawołał prawie głośno po polsku:

— Marjo! wszak to ty!...

I wyciągnął do niéj rękę, a gdy zakonnica wachała się w nią włożyć swoją, rzekł cicho:

— Marjo, nie bój się mego uczucia dla ciebie. Uczucie to zawsze było więcéj duchowe, jak ziemskie. Dziś tém bardziéj widzę w tobie tylko czystego anioła nie kobietę.

Zakonnica płakała... te łzy Bóg jéj nie policzył pewnie za grzech.

Młodzieniec opowiedział jéj w krótkich słowach przez jakie przejścia doszedł do szpitala.

Zadłużony majątek rodziców ostatnie lata niepokojów politycznych zupełnie zrujnowały — on sam po bezowocnéj walce zmuszony był uciekać z kraju nie mając żadnéj wiadomości o rodzicach, gdyż na listy, które kilkakrotnie wysełał do nich z za granicy, żadnéj nie odbierał odpowiedzi. Mówił jéj daléj, jak trudy i niewygody, do których nie był przyzwyczajony, a nadto cierpienia moralne nadwątliły jego zdrowie, przez co zmuszony był tutaj szukać przytułku.

— Jestem więc teraz ubogim tułaczem, rzekł w końcu opowiadania. To jest byłem... dziś już stoję u progu drugiego życia... wkrótce się przeniosę wyżéj, do świata, gdzie panują miłość i spokój, których tak mało na ziemi. O jak wielkim skarbem duszy jest wiara w Boga i nieśmiertelność,.. czuję to teraz, gdy dusza moja ma się rozstać z ciałem, w téj strasznéj i uroczystéj chwili przedostatniéj, w któréj udziałem niewierzących musi być rozpacz... mnie tak błogo i spokojnie... tak gorącą wdzięczność czuję w téj chwili dla Boga za tę wielką jego łaskę, że przed tém przejściem ostateczném zaprowadził mnie tu, pod skrzydło anioła mego życia. Ty mi pomożesz d o b r z e u m r z e ć, wszak prawda siostro?

— Uczynię dla ciebie wszystko co będzie w mojéj mocy, odpowiedziała siostra Felicyta. Chory uśmiechnął się i zamknął oczy, zostając długo w jakiémś błogiém marzeniu. Siostra Felicyta ze złożonemi rękami modliła się cicho, i czyste łzy anielskiego współczucia płynęły po jéj bladéj twarzy.

Kilka dni przeżył jeszcze hrabia Oleg, gotując się do śmierci z odwagą spokojną prawdziwego chrześćjanina. Siostra Felicyta i ksiądz W. osładzali mu swoją obecnością i pomocą pobożną to przejście ostatnie; miło było umierającemu Polakowi słyszeć modlitwy w ojczystym języku.

Umarł z uśmiechem. Siostry Augustjanki mówiły patrząc na niego, gdy dusza już opuściła biedne, znużone ciało, że rzadko widzieć im się zdarzało umarłego z takim błogim wyrazem na twarzy.

Siostra Felicyta przeniosła tę śmierć ze spokojem duszy oderwanéj prawie od świata, związanéj z nim tylko miłosierdziem; jednak to przejście zwątliło do reszty jéj bardzo wyczerpane siły; władza duchowna zabroniła jéj spełniać służbę szpitalną, którą wykonywała dotąd z gorliwością, z poświęceniem nieporównaném. Biedni chorzy w *Hôtel-Dieu* nazywali ją świętą siostrą.

Pewnego dnia zażądano siostry Felicyty do parlatorium; jakaś dama polska usilnie o to prosiła, by się widzieć z nią mogła.

Była to księżna Zofija. Gdy ujrzała siostrę Felicytę, dawną Marję O., którą szczerze kochała, rozpłakała się serdecznie. Jednak widząc ten wyraz promienny, którym prawdziwa doskonałość duchowa cechuje wybranych, ten spokój i szczęście, zadała siostrze Felicycie to samo pytanie, jakie uczyniła Marja przed parą laty zakonnicy w *Hôtel-Dieu*:

— Jesteś szczęśliwą Maryniu? rzekła księżna.

— Najszczęśliwszą, moja droga, odpowiedziała siostra, ściskając rękę dawnéj przyjaciółki.

— O Maryniu, rzekła księżna; gdybyś wiedziała, jak ja bardzo jestem nieszczęśliwą... I rzuciła się ze łkaniem w objęcie Augustjanki, która pocieszała ją jak mogła, choć nie znała powodów jéj rozpaczy.

— Jak ci zazdroszczę moja siostro, rzekła Zofija uspokoiwszy się trochę. Wszystkie kobiety nie mogą zostać siostrami miłosierdzia; ale jeżli która ma tak wychodzić za mąż jak ja wyszłam, bez miłości i szacunku dla tego, z którym się wiąże na całe życie... wolałaby nie tylko wstąpić do klasztoru, ale nawet przywiązać sobie kamień do szyi i wskoczyć w nurty rzeki.

— O nie mów tak, moja Zosiu, rzekła siostra.

— Ty nie znasz świata i nie znasz małżeństwa! zawołała księżna. Gdybyś wiedziała, jak straszne chwile są w życiu, jak opłacić trzeba to szczęście fałszywe, które dają tytuły i majątek... uznałabyś, że nie ma większéj nędzy, czasem większego upodlenia....

Smutną była historja biednéj księżnéj, któréj serce ocknęło się i przemówiło za późno; a szlachetność jéj wrodzona nie pozwoliłaby jéj grzeszyć spokojnie, bez wyrzutów sumienia i potępienia surowego przez sąd własny.

— Jestem u brzegu przepaści, mówiła księżna, — któréj się boję, od któréj cofam się z przerażeniem, czasem z obrzydzeniem największém; przepaść ta ciągnie mnie jednak z jakąś siłą niezwalczoną; i czasem zdaje mi się, że w nią wpadnę, i zginę w niéj na wieki.

Czysta dziewica wysłuchała téj spowiedzi biednéj ofiary świata; i z miłością najgorliwszą podnosiła i wzmacniała tę chorą duszę. W ciągu miłosiernego zawodu swego nauczyła się leczyć tak duszę jak ciało.

Księżna wyszła pokrzepiona i uspokojona nieco, po swéj rozmowie z siostrą Felicytą; a święta sługa nędzarzy uklękła, by się pomodlić za biedną przyjaciółkę i podziękować Bogu za ciche szczęście swoje.

Szczęście to jednak skończyło się nie zadługo. Wkrótce ubodzy i chorzy skrapiali łzami żalu i wdzięczności zwłoki siostry Felicyty.

* * *

Wspomnimy krótko o losach innych osób, które występowały na scenę naszéj powieści:

Hrabia Adam nie żyje; nie mógł przenieść straty syna i straty majątku. Hrabina znajduje się w Paryżu, na łasce dalekich krewnych.

Pomimo nieszczęść, jakie przebyła, nie straciła nic ze swéj dumy; ciągle jeszcze była w obawie, by Juccati nie chciała korzystać z nazwiska jéj syna, które się z prawa jéj należało. — Aktorka uspokoiła obawy dumnéj magnatki, ale jako warunek swego zrzeczenia się położyła oddanie córki pod jéj wyłączną opiekę. Tak więc Lunia wróciła do matki — żegnając bez żalu zimną i poważną babkę swoją.

Panna Placyda mieszka dotąd w Śniwodowie, w którym Marja jéj zabezpieczyła byt wygodny do śmierci. W pokoiku Maryi, przy tym samym kominku, przy którym się zdecydował wyjazd jéj za granicę, często rozmawia z panem Jackiem i w oczach poczciwych starców błyszczą łzy rozrzewnienia na każde wspomnienie o pięknéj i zacnéj dziewicy, którą tak kochali, a któréj im niebo pozazdrościło.

KONIEC.

Jagiellonki polskie w 16. w.

(TOM III.)

przez ***Aleks. Przezdzieckiego***

(Ciąg dalszy.)

W trzecim tomie przynosi nam Sz. Autor obfity materjał w nieznanych dotąd listach królewien polskich, a historycznym wątkiem uzupełnia i wiąże szczegóły. Poprzednio jednak podaje nam jeszcze wiadomosci o ostatnich dniach i o śmierci królowéj Bony.

Umarła jako kobieta, która nie umiała i nie chciała przywiązać do siebie żadnego serca. Służono jéj dla zysku i nienawidzono czekając tylko rychłego jéj końca, aby zanim jeszcze zamknie oczy, okraść ją i porzucić. Umarła śmiercią skąpców i tyranów r. 1557.

Jak skoro tylko choroba mocno ją osłabiła, zaraz też Lorenzo Pappacoda ów powiernik jéj wymógł na niéj oddanie zamku i miasta Bar Filipowi II. królowi hiszpańskiemu i neapolitańskiemu. Na trzy dni przed śmiercią przybyli posłowie ze świadkami, jakoby przez nią wezwani, i jakkolwiek straciła już mowę, była jednak zdaniem ich przy dobréj pamięci i spisali testament unieważniający wszelkie jéj poprzednie rozporządzenia. Syn i córki dostali donacje w pieniądzach i klejnotach, największy legat dostał powiernik, dziedzictwo król Filip, a panny dworu oprawy i wynagrodzenia. Już poprzednio poseł króla Filipa żądał od niéj zrzeczenia się księztwa, czego uczynić nie chciała mając syna, naturalnego spadkobiercę. Widać z tego, że testament ten był więc podrobiony, albo wymuszony. To też, gdy nazajutrz królowa wróciła do przytomności i przypomniała sobie oszustwo Pappacody, zawołała notarjusza i wobec trzech świadków inny tajemny testament sporządziła. Był on następnie za zezwoleniem króla polskiego ogłoszony, ale do nas nie doszedł. Notarjusza owego ściągnięto do Neapolu, obdarzono pensją, żeby prawdy nie głosił. Nadto postarano się, aby koniec choréj przyspieszyć. Pappacoda, jak pisze Bartoszewicz, przekupił lekarza Jana Antonia Maceratę, który w lekarstwie otruł królowę. Pappacoda pozbył się sztucznie i lekarza. Bona według zwyczaju kazała Janowi wypić połowę lekarstwa. Lekarz wypił w nadziei, że przeciwtrucizną, którą przygotował sobie, łatwo skutki trucizny zniszczy. Pappacoda nieodstępował ich wtenczas obojga ani na krok i niewypuścił lekarza z komnaty, w któréj odbywała się ta trajedja. Jan przepowiedział, że tydzień sam żyć będzie, a Bona nie dociągnie trzech dni nawet. Pappacodę zamiast oddać pod sąd, wynagrodzono sowicie za niecne usługi, które musiały być wielkie, skoro sam król Filip w przywileju nadającym mu tytuł margrabiego tak pisze: „że to tylko zadatek tego, coby chciał dla niego uczynić; gdyż nie był w możności wynagrodzenia go stosownie do zasług, chociażby jedno z królestw swoich oddał“.

Taka była sprawa co do testamentu — śmierć sama jeszcze straszniejszy przedstawia obraz. Już po sporządzeniu wymuszonego testamentu, królowa opuszczoną została bez przyzwoitéj usługi, tak, że gdy pić chciała, podawano jéj wodę w spodku mosiężnego lichtarza, a gdy trzeba było obetrzeć jéj usta, w braku bielizny spowiednik obcierał ją swoją własną chustką. W chwili konania, ponieważ nie było kadzielnicy, na dachówce ceglanéj rozpalono kadzidło. Po otwarciu ciała i wyjęciu wnętrzności, umieszczono je w brzydkiém potłuczoném naczyniu, które bez żadnych obrzędów chrześćjańskich poniósł na barkach człowiek z gminu do kaplicy zamkowéj. Ciało zaś włożono potem do trumny z prostych desek zbitéj, na któréj naznaczono dwa krzyże kawałkiem czerwonéj kredy, przeniesiono je do téjże saméj kaplicy również bez żadnego obrzędu chrześćjańskiego i bez wszelkiéj uroczystości, tak, że nie można było poznać, czy była chrześćjanką czy nie, a tylko ubożuchną nędzarką. Zostawiono trumnę w kaplicy bez żadnéj straży, z dwiema świecami w lichtarzach mosiężnych, tak, że jedna świeca dopaliwszy się, zapaliła trumnę, i o mało, że ogień ciała nie zajął. Tak skończyła dumna kobieta, królowa potężnego państwa.

Gdy ksiądz Wissowski poseł Zyg. Augusta przybył do Neapolu, przyjęto go jak najzimniéj i najmniejszéj cząstki spuścizny wydobyć nie mógł na sprawienie egzekwij dla umarłéj, dopiero po kilku poselstwach część klejnotów i skrzynię z papierami wydobyło. Pojechał więc do Baru i kosztem króla polskiego ją pochował, a dopiero w 36 lat potem córka Anna wystawiła jéj wspaniały marmurowy pomnik. W Polsce pamięć jéj przechowała się oprócz podań o wywiezionych skarbach i intrygach, w wielu zamkach, które podnosiła, w wielu satyrycznych wierszach, a śp. Ambroży Grabowski umieścił pod jéj portretem w dziele swojém: *„Przewodnik do grobów wawelskich“*, następujący napis:

Bona ci dano imię, a tyś złość wcielona,
Chytra, mściwa, łakoma — zła matka, zła żona.

(Ciąg d. n.)

O zachowaniu wzroku

przez

Dr. Wojciecha Wolka.

(Ciąg dalszy.)

W Saksonii pojawiały się w roku 1863 te zapalenia tak często, że ministerjum spraw wewnętrznych musiało zarządzić wydanie pouczającéj w tym względzie broszurki i rozesłało ją osobom dotyczącym, przykazując surowo wypełnienie tychże przepisów. Inną przyczyną takich niebezpiecznych zapaleń jest przesadzona obawa światła, a skutkiem téjże nieczysta, niezdrowa atmosfera.

Aby niemowlę niby ochronić od wszelkich szkodliwości, wyszukuje mu się zwykle jak najmniejszy kątek, więc i ta, sama przez się mała ilość powietrza, jeszcze się nigdy nie odświeża, wyziewy ludzi i potraw gromadzą się, a gdzieś koło pieca suszy się bielizna małego, i tym sposobem zagęszcza się i zanieczyszcza powietrze, a jako takie drażni delikatną błonę śluzową oczu i wywołuje zapalenie, które nie zawsze, lecz prawie zawsze gwałtownie się wzmaga i wielkiém grozi niebezpieczeństwem.

Stan ten nie cierpi zwłoki, tu trzeba zaraz energicznie wziąść się do stósownego i właściwego leczenia, a nie spuszczać się na pierwszą lepszą radę tak zwanych doświadczonych kobiet.

Jeżeli zaś wśród różnych niekorzystnych okoliczności pomoc umiejętna nie może być rychłą, to należy tymczasem robić okłady zimne, oczęta bez ustannie czyścić i przemywać wodą, nim nastąpi właściwe leczenie.

Ci bowiem, których nazywamy ciemnymi od urodzenia, prawie wszyscy przyszli na świat z najzdrowszemi oczami, a dopiero w pierwszych dniach istnienia swego, zapadłszy na tę niebezpieczną chorobę oczu, wskutek lekkomyślności, niewiadomości lub braku właściwego leczenia poślepli.

Rozumne więc postępowanie z niemowlętami w tym względzie i uchylenie zbytecznych a częstokroć przesadzonych obaw, uchroni ich od największego nieszczęścia, od ślepoty.

Nie mogę zamilczeć jeszcze o jednéj bardzo przykréj chorobie oczu u dzieci w pierwszym roku i następnych latach.

Jest to tak zwane zapalenie szkrofuliczne czyli zołzowe.

Niedawno jeszcze, jak w takiém zapaleniu upatrywano niejako ważny dowód, że cały organizm chory jest na skrofuły, i że skrofuły te, jak się wyrażono, rzuciły się na oczy, chociaż właściwe szkrofuły nigdzie indziéj i niczém więcéj się na całém ciele nieobjawiły.

Karmiono więc nielitościwie biedne dziecię rożnemi proszkami, np. z palonéj gąbki, kazano pić wiecznie gorzkie herbaty, np. z liści orzechowych, kawę żołędziową, a oczywiście bez tranu nigdy się przy tém nie obeszło.

Przyprawiono więc biednym dzieciom i tak już przykre chwile jeszcze przykrzejszemi goryczami.

Z tém zapaleniem jednak tak się rzecz istotnie ma.

Szkrofuliczne dzieci w ogóle zapadają często wskutek bardzo nieznacznych wpływów zewnętrznych, mianowicie na zapalenie błon śluzowych i gruczołów, więc częstokroć i błona śluzowa oczu także współcierpi.

Takie same jednak zapalenia oczu zdarzają się i u dzieci zupełnie zdrowych, a więc nie dowodzą ogólnéj choroby.

Objawy téj choroby są: światłowstręt, łzawienie i maleńkie pryszczki, bądź na błonie śluzowéj białkówki, bądź téż na rogówce.

Jeżeli takie pryszczki długi czas na rogówce trwają, to zwykle pozostawiają po sobie ślady i zciemnienia rogówki, a więc upośledzone i niedokładne widzenie.

Nie trzeba więc tracić czasu na leczenie ogólnéj choroby, bo ta częstokroć wcale nie istnieje, lecz trzeba czémprędzéj leczyć bezpośrednio oczy.

Jeżeli jednak towarzyszą i inne objawy, np. złe odżywianie, upośledzone trawienie, tkliwość skóry na zmiany temperatury, to oczywiście należy także zastósować leczenie ogólne, i to przedewszystkiém dyetetycznie, czyli skierowane na zachowanie się chorego.

A więc trzeba dzieciom dawać potrawy zdrowe, łatwo strawne, i to w regularnych odstępach czasu, trzeba często dzieci kąpać, a przedewszystkiem muszą mieć czyste świeże powietrze.

Kto ma małe dzieci, ten we wszystkiém inném niechaj się oszczędza, tylko nie w mieszkaniu.

Chcąc utrzymać dzieci zdrowe, to trzeba im dać pokój wysoki, obszerny, jasny i suchy, w mieszkaniach wilgotnych, zadusznych to i najzdrowsze dzieci dostaną szkrofuł i staną się w krótkim czasie zupełnymi charłakami.

Jeżeli zaś kogo ciężkie zmuszają stosunki, tak niekorzystne zajmować mieszkanie, niechajże przynajmniéj stara się to złe wynagrodzić dzieciom dobrém odżywianiem, wysełając je przytém jak najczęściéj na świeże powietrze. (C. d. n.)

Z POŚMIERTNYCH POEZYJ JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ostatnie wspomnienie. *)

Dawniéj bez serca — dziś bez rozumu —
O biedna, moja — nim zginę,
Tobie śród głuchych pamiątek szumu
Wianek Ofelii uwinę.

*) Podajemy tu w całości tekst do muzyki, załączonéj przy dzisiejszym numerze. (Red.)

A Marylka? W jéj sercu jeszcze żadne nie postało uczucie. Kochała Karola jak brata, Stachowi była serdeczną przyjaciółką, lubiła z nim rozmawiać poważnie a często żartować i bawić się — co w biednym chłopcu tylko bardziej podniecało nadzieje. — Dziwny był stosunek tych trojga ludzi. Łączyła ich wszystko troje przyjaźń ścisła i prawdziwa — wieczorem godzinami nieraz razem w cichej przesiadywali rozmowie, obaj młodzi zapatrzeni w palące oczka Marylki, Stanisław pełen nadziei, Karol pełen rezygnacyi, a ona między nimi urocza, swobodna, żartobliwa, nie wiedząca nawet, jak wielkie w Karolu obudziła uczucie, jak silne wzniecila cierpienie — a dla Stanisława zawsze przyjaźna, nie robiąca ani odbierająca nadziei.

„Tak minął czas jakiś. Karol tak silnie wżył się w ten stosunek, w szczęściu Stanisława tak dalece czuł własne swe szczęście, a w nim widział człowieka, który ukochaną jego Marylkę uszczęśliwi, że ta myśl o połączeniu i szczęście tych dwojga ludzi stała się po silném jego uczuciu patrjotycznym, najpiękniejszym, jedynym snem jego młodości.

„Ale przyszedł czas, że piękne to marzenie rozwiać się miało. — Stanisław w politycznych swych pracach poznał młodego człowieka pełnego zdolności i jednego z najgorliwszych pracowników na polu narodowém. Adam swemi zdolnościami i wielką wiedzą a przytém życiem bardzo czynném i pożyteczném zjednał był sobie wielką wziętość w mieście, a nawet mimo młodego wieku pewne imię w literaturze. Wszędzie bardzo go mile widziano, wszędzie Adam był najpożądańszym gościem, bo nikt nie umiał tak mile, a przytém pouczająco prowadzić rozmowy, tak bardzo ożywić całe towarzystwo. Wymowa wielka, potężny zasób wiedzy, przytem skromność i przystępność dla wszystkich jednały mu miłość ogółu. Stanisław bardzo go polubił i po krótkim czasie zawarł z nim serdeczną przyjaźń, ułatwioną jeszcze przez wspólną pracę polityczną.

Marylka nasłuchała się tyle o Adamie, a przytem z poezyj jego umieszczanych w dziennikach tak go polubiła, że poczęła nalegać na Stanisława, by go wprowadził w ich dom. A że Stanisław nie jéj nie mógł odmówić, że zresztą sam był rad, by serdeczny jego przyjaciel poznał tę, do której całe jego życie było przywiązane — więc bez obawy wprowadził Adama wiedzącego o jego uczuciu w dom rodziców Marylki.

„Domyślicie się koledzy końca téj wesołéj komedyi. Marylce i Adamowi jedno wystarczyło spojrzenie, by się pokochać jak tylko młode serca kochać umieją. Stanisław uniósł głęboki ból w sercu — Karolowi jasne czoło dwa zorały zmarszczki.

„Komedja skończyła się zabawnie. Przyszedł straszny rok 1846. Jednego i tego samego dnia trzy bardzo rozmaite odbywały się sceny. Stanisław mocno skompromitowany, uciekł za granicę, a w Krakowie odejmowano mu nogę w skutek ciężkiéj rany zadanéj mu kulą moskiewskiego żandarma gdy przemykał się przez granicę Królestwa. — Karol żegnał się z rodziną wsiadając do kibitki, która go odwiozła skazanego na lat 15 do nerczyńskich kopalń. A tego samego dnia w rzęsiście oświetlonym kościele ś. Jana odbywał się ślub Marylki z Adamem, a młoda para rozkoszna, rozpromieniona szczęściem, zapomniała o przyjaciołach, którzy tak ciężkiego doznawali losu.

„Nieprawdaż“ — dorzucił opowiadający — „wesoła, bardzo wesoła historja i ciekawa choć dość pospolita“.

— „Cóż się stało z Karolem?“ zapytałem kolegę — „czy wrócił z Sibiru?“

— „Wrócił, wrócił“ — jakby niechętnie dodał opowiadający.

— „A ona?“

— „Marylka? Biedna Marylka!... Adam w r. 1848 poszedł na Sybir — a Marylka, której ledwie po długich prośbach pozwolono udać się za mężem, zginęła w drodze na Sybir.

„Ale dość tego — ognisko zagasło, noc już późna, marsz czeka nas, a po marszu bój może, a w boju“...

Tu urwał, jakby nie chciał kończyć zaczętéj myśli i owinąwszy się szerokim płaszczem, położył się na ziemi, podłożywszy pod głowę kawał drzewa, zwykłe posłanie powstańca.

Minęło dni kilka. Opowieść Sokoła zajęła mnie mocno — dziwnie jakoś do niego pociągnięty, zbliżałem się parę razy, ale on zwykle krótko i ostro ucinał, jak gdyby niekontent był z tego, iż nam opowiedział dzieje owych młodych ludzi.

Po długich bezużytecznych marszach i kontrmarszach, w których najlepiéj się objawiła nieudolność naszego wodza, zmęczeni zgłodniali, bo w końcu i zjeść nam porządnie nie dano; — dwa razy jednego dnia niespodzianie zaskoczeni, stoczyliśmy z nieprzyjacielem dwie małe zwycięzkie potyczki. Po drugiéj dość nużącéj walce, bez wypoczynku i posilenia ruszyliśmy w marsz na całą noc; poczém trochę wypocząwszy, zaczęliśmy się zbliżać do granicy galicyjskiéj, niby dla dostania nowéj amunicyi.

Byliśmy tak pomęczeni i tak zgłodniali — bo przez półtrzecia dnia nic nie mieliśmy w ustach — że chwialiśmy się na nogach, a gdy oddział na chwilę się zatrzymał, to większa połowa ludzi ze zmęczenia usypiała stojąco, sparłszy się na karabinach.

Weszliśmy nareszcie w duży bardzo las, w którym jak nam mówiono, mieliśmy stać dzień cały. Batalion, w którym była kompania Ślaskiego, wysunął się był od reszty oddziału więcéj niż na tysiąc kroków naprzód. Gdyśmy więc byli już w głębi lasu, wpadł adjutant z rozkazem by spocząć i zaczekać na resztę oddziału. Oczywiście, że po takiém zmęczeniu każdy le-

dwie usiadł, w ten moment zasnął. Po chwili zbudziły nas strzały i okropne wycie piechoty moskiewskiéj, która zrobiwszy tu na nas zasadzkę, wpadła na śpiących, odcięła nas od reszty oddziału i z trzech stron morderczy rozpoczęła ogień.

Wielu naszych padło w téj chwili — szczęśliwi! — nie doczekali haniebnéj ucieczki. Po pierwszych zaraz strzałach z wielu piersi wyrwał się okrzyk: „zdrada“! zabójczy w takich razach — i wszczął się ogromny popłoch. Wszystko rzuciło się ku jednéj stronie, jedynie wolnéj do odwrotu. Daremne były wołania oficerów, daremne groźby wielu szeregowców, nawet którzy uciekającym bagnet przykładali do piersi — popłochu takiego nikt wstrzymać nie zdoła. Tylko część kompanii Ślaskiego zebrała się około ukochanego kapitana i odstrzeliwając się od czasu do czasu zasłaniała odwrót a raczéj ucieczkę wszystkich. Nareszcie widząc okropną hańbę popłochu, ogarnęła nas rozpacz szalona.

„Idźmy na bagnety“! krzyknął dzielny Józio Dąbczański. „Dobrze, dobrze“! odpowiedziało nie wiele głosów — „Gdzie kapitan“? — „Ja tu“ — odpowiedział Ślaski nabijając rewolwer — „gdzie moi trupiarze tam i ja“.

I poszło nas trzydziestu, pewni, że za sobą cały pociągniemy bataljon. Cudna to była chwila! Nieprzyjaciel utrzymując ogień z trzech stron rojem kul nas obsypywał — i słychać było tylko ciągły huk strzałów tysiącznem echem odbijających się po lesie — ciągłe uderzenia kul o gałęzie drzew, a od czasu do czasu jęk konającego powstańca. — Przed nami na dziesięć kroków biegł dzielny Dąbczański, wzniesioną w górę bronią wskazując na nieprzyjaciół — wyższy wzrostem nad wszystkich, z okiem iskrzącém, z rozwartemi nozdrzami, z twarzą jasną a tryskającą ogniem — za nim nas trzydziestu, z ciągłym, strasznym okrzykiem: „Zemsta! zemsta“!

Moskale zdziwieni i zastraszeni tém szalonem natarciem, poczęli ustępować, ale równocześnie odcięli nas od reszty oddziału. Garstka nasza coraz malała — zostało w końcu kilkunastu. Nareszcie padł Dąbczański ugodzony kulą w nogę, a choć ranny, jeszcze kilka razy nabił broń i wypalił. Nie było już co robić. Na prawo o 200 może kroków od nas były gęste krzaki wolne od Moskali.

„Nic już tu nie zrobimy“ rzekł Ślaski — „nie gińmyż marnie“ — i wskazał na krzaki. Rzuciliśmy się ku krzakom.

„Lepiéj zginąć“ — zawołał Sokoł, który w tym ataku wszystkim męztwem swém przyświecał, i jakby umyślnie, szukał śmierci. W téj chwili jednak zachwiał się — i chwycił ręką za pierś. Poskoczyłem ku niemu, podparłem i prowadziłem go szybko ku krzakom. Już, już mieliśmy w nich znaleść schronienie — gdy w tém drugą kulą trafiony padł mój towarzysz. Przykląkłem nad nim. — „Ratuj się! Ale te papiery spal...“ rzekł konającym głosem oddając mi dobyte z pod munduru papiery. — „Marjo! Marylko!...“ Te były ostatnie jego słowa.

Nie mogłem się przy nim dłużéj zatrzymywać — rzuciłem się w krzaki, a po długiém błąkaniu w gęstwinie lasu, spotkałem wreszcie garstkę kolegów i z nimi razem uratowałem się do Galicyi.

Na pierwszym zaraz noclegu zajrzałem do papierów oddanych mi przez konającego kolegę i znalazłem między innemi paszport dla powracającego z Sybiru Karola S. — po odbytéj piętnastoletniéj karze w kopalniach.

— Więc to on był tym Karolem! Jakże głęboko ta gorąca dusza czuć i kochać musiała, kiedy po tylu latach, jeszcze z jéj imieniem na ustach skonał. Po przebyciu tylu cierpień doczekał przecie wielkiéj chwili powstania — i dla czegóż w samym jego początku tak prędko a prawie marnie zginął?!

O! nie, nie marnie — bo nic tu marnie nie ginie — bo każdy czyn w dobréj przedsięwzięty sprawie, bo każda dla niéj przelana krwi kropelka jest wielkiéj przyszłości nasieniem.

Sit tibi terra levis!

Lwów 1866 r.

*** **„Z ubiegłych dni“** (poezje). — Rzadkością stały się u nas od jakiegoś czasu zbiorki poezyj. I tę część literatury, „córę nieba“, jak powiada poeta — dziennikarstwo do swéj codziennéj obsługi użyło. Kiełkujące talenciki z obawy o swoją nieśmiertelność, coprędzéj wysyłają na pocztę nieoschłe jeszcze z atramentu wierszyki do dzienników, żądając niecierpliwie natychmiastowego ich wydrukowania. Takie spieszne zmienianie na drobne kapitału duszy przyczynia się niepomału do marnotrawstwa, a ztąd do bankructwa poetyckiego. Mamy dziś dużo „niezłych“ wierszy, żadnego dobrego. — Przechodzą koło nas nie uderzywszy nas oryginalnością, nie zatrzymane pamięcią, podobne w tém do kalejdoskopu, który z kilku kolorowych szkiełek przeróżne tworzy kombinacje dla zabawy oczów. Nie jest to poezja, ale silenie się na poezją, i nie stworzyła jéj potrzeba serca, ale potrzeba dziennikarska i próżność autorów, a natchnienia do niéj dało kilka przeczytanych tomów Słowackiego, Mickiewicza, Pola i t. d.

Biorąc tomik poezyj „z ubiegłych dni“, mieliśmy nadzieję, że będzie on miłym wyjątkiem od smutnej reguły poetyckich utworów dzisiejszych, że po nużącéj włóczędze po pustyni rymów odpoczniemy w nim jak w świeżéj oazie. I rzeczywiście pierwszy poemacik jaki po otwarciu książki na chybił trafił wpadł nam pod oczy, utwierdzał nas w tém mniemaniu. Poemat nosi tytuł: „Świeże dzieje“, a zaczyna się tym wdzięcznym ustępem:

Znałem ich dwoje — w wiosny byli kwiecie,
On ledwie młodzian — ona jeszcze dziecię,
On jasnowłosy — ona czarnobrewa.
I razem fiołki rwali nad strumieniem,
Razem igrali pod jaworów cieniem,
Kędy tak rzewnie co dnia słowik śpiewa.

Znałem ich miłość — przejrzysta i cicha,
Jako wśród lilii śnieżnego kielicha
Kropelka rosy — w majowe zaranie,
Gdy nań wschodzący promyk słońca błyska,
I błogo było oglądać mi z bliska
Anielskie szczęście, anielskie kochanie.

Widziałem zasię dalsze ich koleje:
Słodkie wyznania, czarowne nadzieje,
Uściski dłoni, przysięgi wzajemne;
Potém nastało dlugie rozłączenie —
I dla niéj — mile przeszłości wspomnienie,
Dla niego rozpacz — żal i łzy daremne.

Ale cóż, kiedy zaraz w drugim ustępie natrafiliśmy na rym myśl, które nas wytrzeźwić musiały z marzeń o oryginalności autora. Opisując rozdział młodéj pary, mówi między innemi:

A Marja? — Tutaj jedyna zawiłość —
Za mąż ją wydać pragnęli rodzice:
Najprzód łzy lała — i chmurzyła lice,
Potém — innemu ślubowała miłość.

Każdy pozna, że forma, maniera, lekki sarkazm téj strofy — wszystko to wzięte ze Słowackiego.

Wczytując się w dalsze drobne poezje, spotkaliśmy więcéj takich reminiscencyj; tu forma, tam treść przypominały nam to Pola, to Słowackiego; w niektórych autor sam przyznaje się do tego, kładąc na początku motto, pod którego wrażeniem napisana poezja, nie była niczém inném, tylko rozwodnieniem, rozwałkowaniem tego, co poeta treściwie powiedział. Dość tu przytoczyć początek niektórych — czytelnicy sami sobie przypomną źródło, z którego wypłynęły. — I tak jeden wiersz zaczyna się od słów:

Trzydzieści wiosen nad Polską przebiegło
inny:
Gdybyś ty była lilii kielichem
albo:
Czy znasz ty kraj, gdzie na stepowéj i t. d.
Czy wiesz ty ile tam pamiątek? i t. d.

A tu znowu gawędziarski ton i wyrażenia Pola gwałtem cisną się pod pióro autorowi, gdy mówi:

Więc samotny dumam sobie
O tych ojcach, co śpią w grobie,
I o braciach tych, co smutni,
I o gwiaździe téj, co blada
Z lazurowych niebios spada,
I o starych dawnych dziejach,
O złéj doli — o niewoli,
O aniołach — kołodziejach —
I o Piaście i o chwaście i t. d.

Tam znowu lirenka Lenartowicza ludową nutą się odzywa w wierszu „Sierota“:

Biedna, biedna ja zazula,
Odumarła mnie matula,
Ojciec wygnał poza wrota,
Biedna, biedna ja sierota.

I wiele innych podobnych miejsc możnaby zacytować. — W poezjach znowu, których miłość jest przedmiotem, słyszymy przeróżne waryjacje na temat wiersza Kordyjana w albumie Laury.

Może być, że samemu autorowi nie wpadło to w oko i nawet bardzo naturalnie; bo każdy z nas od dziecieństwa nasłuchawszy się wielkich poetów naszych, wykarmiony niemi, wsał je w siebie tak, iż potém ich językiem i zwrotami tłumacząc uczucia własnéj duszy, pewny jest, że je z siebie oryginalnie wydobywa.

Gdybyśmy zbiorek niniejszy oceniali bezwzględnie, ignorując źródło ich natchnienia, to musielibyśmy przyznać, że jest w nim wiele wierszy pięknych, które się czyta z zajęciem i wzruszeniem nawet, że tam, gdzie autor zapomina o sobie a więcéj staje się przedmiotowym, obrazki jego mają wiele wdzięku, że kilka wierszy jak „Na dzisiaj“, „Pobudka“, „Noc wiosenna“ mogą się policzyć do najlepszych wierszy, jakie w ostatnich latach czytaliśmy; ale nam idzie o coś więcéj — my tyle już nagrzeszyli poezjowaniem, że teraz każdego młodego poetę zapytać musimy: co nam nowego, co oryginalnego przynosisz? — Nie idzie tu o słupy Mojżeszowe, o gwiazdy sternicze, bo wtedy uschłby duch ludzki z tęsknoty oczekiwania; niech to będzie choćby kropelka rosy rzeźwiącéj, choćby kilka malin, choćby kwiatek świeżutki, byleby nie był rwany na niwie uprawnéj i obsianéj natchnieniem innych poetów, jeno z miejsc nie tkniętych ich stopą; słowem, aby poezja wykwitała z życia, a nie rodziła się dopiero na papierze, o czém sam autor trafnie i slusznie powiada w wierszu do braci wieszczów (?) i wierszokletów, że my teraz bijemy się tylko na papierze, kochamy na papierze i cierpimy na papierze. — Od takiéj papierzanéj poezyi zachowaj nas Panie!

† Piątego sierpnia popołudniu wśród ulewnego deszczu odprowadziliśmy na cmentarz zwłoki **Ambrożego Grabowskiego**. Komuż nie znane to nazwisko? Nie mówimy już o świecie uczonym, w którym zajął pracami swemi historycznemi chlubne stanowisko; ale któryż z Polaków zwiedzających Kraków nie miał w ręku jego „Opisu Krakowa“ i z nim jako z przewodnikiem nie pielgrzymował wśród pamiątek staréj stolicy? Każdy kątek znajdziesz tam opisany, każdą legendę, każde historyczne wydarzenie skrzętnie zebrane; bez téj książki nie można znać Krakowa — w niéj zmarły najtrwalszy pomnik sobie postawił.

*** **Zarobkowe stowarzyszenie kobiet** w Wiedniu, o którém dawniéj donosiliśmy, rozwija się bardzo pomyślnie. W szwalni udzielono zeszłéj zimy 1407 dwugodzinnych lekcyj szycia na maszynie, które pobierało przeszło 800 uczennic. Do szwalni rękawiczek uczęszcza zawsze w przecięciu 30 dziewcząt. — Od lutego t. r. uszyły przeszło 1500 par. Taki jest wielki popyt za robotą ze strony rękawiczników, że trzy razy tak wielka liczba szwaczek może tam znaleść stałe zajęcie. W pierwszym roku porozumiano się ze szkołą handlową pani Kühnel co do lekcyj szycia rękawiczek i w ogóle tych kursów, które do zawodu kupieckiego uzdalniają. Od jesieni otworzy już stowarzyszenie swoją własną handlowo-przemysłową szkołę dla dziewcząt, w któréj uczyć będą: czytać, pisać, rachunków, geografii, rachunkowości kupieckiéj, buchhalteryi, stylu kupieckiego, i toku spraw wekslowych. Kiedyż to u nas pomyśli kto o takiém wyzwoleniu z biedy i zależności przez oświatę tych legionów proletarjatu żeńskiego zwanego ogólnie szwaczkami — a zarazem o podaniu ubogim dziewczętom w ogóle takich błogosławionych sposobów pracy i utrzymania!!

*** **Kronika**. Upał lata wysuszył nam miasto z ludzi i nowinek; na wózkach góralskich pielgrzymują wszyscy do kąpiel niby do miejsc świętych, a w mieście tymczasem porządki robią na gwałt, by powracający zastali wszystko świeżo od kamienic aż do kieszeni. Rusztowania murarskie wiszą na każdéj niemal kamienicy i częstują tych, co nie mieli za co chorować i wyjeżdżać wapnem i kurzawą. Na plantacjach i po ogrodach dużo ludzi lecz mało osób przysłuchuje się muzyce wojskowéj, która jak katarynka jedne i te same kawałki powtarza. Pan Kohut ma widocznie zamiar wyu-

czyć tém ciągłém powtarzaniem wszystkie ptaki strzeleckiego ogrodu. Faust, Ouwertura z Tella, Trovatore, An der blauen Donau Walce i kilka innych tańców powtarzają się w kółko. Obok tego szybka i grzeczna usługa wypomadowanych kelnerów i dobór potraw (?, nie mało także przyczyniają się do odstraszenia publiczności od ogrodu, tak niegdyś licznie odwiedzanego. Więcéj przyciągają do siebie odleglejsze spacery jak Wola, Bielany, Panieńskie skały Tyniec, Krzeszowice, do których wybierają się rodziny z parasolami, pieczenią i kawą w butelkach.

Przed laty podobne spacery zarogatkowe były już ogromną podróżą dla zasiedziałego mieszczanina, dziś lokomotywa rozmachała nas, spacerujemy sobie jak nigdy nic do Lwowa, Poznania, Wiednia, Zurychu, Paryża, a za paręset lat kto wie czy potomkowie i potemkinie nasze jak my teraz do Aleksandrowy ogródka, nie będą do Brazylii jeździć balonami na podwieczorki. Może kobiece mody w tym czasie przypomną nam... ale przepraszam za zboczenie, wszak nie proroctwa ale kroniczkę mam pisać, do któréj trzeba pozmiatać piórem wszystkie brukowe wiadomostki, a nawet ploteczki. Nie ma ich wiele, czas bowiem, w którym gospodarze wiejscy najwięcéj zbierają, dla kronikarza jest strasznym przednowkiem. Z nowinek tutejszych ledwie mogę zanotować przejazd Nuncjusza papiezkiego, który tu zabawił kilka dni w powrocie ze Lwowa. Błogosławił w kościele p. Maryi, jadał obiad u Opata, był na teatrze, jaki Jezuici wyprawili dla niego w rodzaju dawnych dyalogów w klasztorze u Bożego-Ciała, gdzie są obecnie kwaterą, i odjechał zagrzany wiwatami kilku księży i bractwa Uwaga publiczna, która się nim zajmowała, z łatwością zwróciła się potém na szybkobiega, który się popisywał na błoniach. Patrzących było mnóstwo, ale płacących tak mało, że szybkobieg zajrzawszy do kasy, zamiast ku Woli — do miasta uciekł z powrotem. Dopiero drugie przedstawienie lepiéj musiało opłacić szybkie nogi — bo puścił się i przebiegł pięććwierci mili niemieckiéj (?) w 29ciu minutach, a z nim chmara uliczników współzawodniczących gratis i bez ogłoszeń. — Większego nierównie powodzenia doznaje teatr marjonetek i duchów; jest on znakomitém lekarstwem na nudy i bawi równie młode jak stare dzieci. Szczególniéj pojawiania się i znikania duchów zapomocą luster i światła elektrycznego są niesłychanie łudzące. Dziwny to wiek: stwarza duchy i odejmuje wiarę w duchowość.

*** **Nowe książki:** Pamiętnik hr. Fr. Wiesiołowskiego, odnoszący się do wypadków z r. 1845—46. — Lwów. — „Zakazany owoc", powieść J. Zachariasiewicza — Warszawa. — „Die Kriege Kaiser Heinrich II. mit Herzog Bolesław v. Polen", von H. Zeissberg — Wiedeń. — Paryż: „Mademoiselle Merquem", par George Sand. — „Les signes du temps", par Henri Rochefort. — „Biblioteki ludowéj polskiéj" wydawanéj przez Wł. Mickiewicza wyszło już 54 tomiki — każdy sprzedaje się osobno po 25 centimów czyli 12½ gr. pol.

*** Przed kilku miesiącami p. Miłaszewski dyr. teatru lwowskiego, bawiąc w Krakowie, mówił głośno do wielu ludzi — które sztuki na konkursie lwowskim są prawdopodobnie najlepsze. — Sami autorowie wymienianych sztuk mówili, albo pisali bez zastrzeżeń, że są autorami — dzienniki warszawskie i poznański pisały kilkakrotnie o tém z podaniem tytułów i nazwisk. — Po tém wszystkiém napisaliśmy i my krótką wzmiankę, za co „Strzecha" i „Dz. Lit." zarzuciły nam niedyskrecją. Wyjaśnienia powyższe są zdaje się dostateczną odpowiedzią i dowodem, że nie mogło być niedyskrecyi, bo nie było tajemnicy — nie ma więc racyi robić z muchy wielbłąda. Upraszamy pomienione pisma o sprostowanie zarzutu.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.
We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje niepopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

☛ Ajencją „Kaliny" w Tarnowie utrzymuje księgarnia ***M. Fenichl.***
Nową „Ajencją Kaliny" we Lwowie utrzymuje księgarnia „Seyfart et Czajkowski" przy głównym rynku.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.